

KATARZYNA ZIEMNICKA

✦  
Zagadkowe  
niebo

*Tę książkę dedykuję mojej Cioci Krystynie  
z podziękowaniem za przyjaźń i wszystkie ważne  
rozmowy przy kawie, ciastkach i komutatorach*



Katarzyna Ziemnicka  
**Jagodowe niebo**

© by Katarzyna Ziemnicka  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:  
Elżbieta Chojna

Skład i korekta:  
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I

**ISBN 978-83-7672-558-1**

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wyd-literatura.com.pl

*Jagodowe  
niebo*

Celina Ceglarek wysiadła z autobusu, rozejrzała się i zmarszczyła brwi. Były to brwi jasne i cienkie, niespecjalnie nadające się do tej demonstracyjnej czynności, lecz Celina, drobna blondynka o smutnych piwnych oczach, była zła na cały świat. A czy w takich chwilach myśli się o brwiach?

Rozejrzała się z niechęcią wokół. Tak jak przypuszczała, w tej okropnej dziurze nie było niczego, co zasługiwałoby na uwagę mieszkanki miasta o statusie powiatowym.

Z całą pewnością nie zasługiwał na nią sklep spożywczo-przemysłowy z czerwonym napisem „U Danki”.

Ani niechlujny plakat na płocie informujący o sprzedaży odpowiednio dorodnych prosiąt.

Ani brudny staw odgradzony od reszty świata zardzewiałą drucianą siatką.

Koncertujące w nim żaby darły się jak głupie.

Być może ktoś optymistyczniej patrzący na życie doszukałby się w tym miejscu choć odrobiny urody. Na przykład w zielonych i czarnych paskach pól, w złocistoróżowych chmurach oświetlanych hojnie przez rozrzutne słońce albo w niedużym czarnym kundelku, który obwąchując śmietnik, zerkał sobie

na Celinę spokojnie. Ale Celina nie była w optymistycznym nastroju i nie zaszczyciła dodatkowym spojrzeniem ani tutejszych widoków, ani psa.

Miała swoje powody.

Oparła plecak o przystankową wiatę i spojrzała na rozkład jazdy. Częściowo zatarte czarne cyferki nie pozostawiały złudzeń, iż stąd, kolonii Żabie Skuchy (co za głupia nazwa!) można wyjechać komunikacją PKS najwcześniej jutro rano. Dokładnie o 6.26.

Tylko nawet gdyby Celina mogła stąd wyjechać, to dokąd? Do cici Ilony? Do sąsiadki, pani Kawczyńskiej? Ha! Dobre sobie! Przecież to one uradziły, że Celinie najlepiej będzie teraz u babci. I żadnej z nich nie przyszło do głowy, żeby ją o to, chociaż dla formalności, zapytać.

Naprawdę to bardzo smutne, gdy młody człowiek nie ma w tak ważnej kwestii, jak miejsce do życia, nic do powiedzenia. A jeszcze smutniejsze jest to, że nic od niego nie zależy. Może tylko słuchać, jak dorośli zapewniają: „Zobaczysz, kiedyś zrozumiesz, że tak jest dla ciebie najlepiej”.

Ale to „kiedyś” jest tak odległe, że trudno w te zapewnienia uwierzyć.

Bo jak może być jej u babci dobrze, kiedy ta traktuje ją jak przedszkolaka? Przecież ta instrukcja, którą babcia przysłała, to jest jakiś żart! Czy Celina sama nie potrafi znaleźć domu położonego półtora kilometra za wsią? Albo, w razie kłopotów, zadzwonić i zapytać, czy idzie w dobrym kierunku? No, wiadocznie nie. A dowodem na to jest ten list.

*Kochana Celu!*

*Pamiętaj! Jak tylko wysiądziesz z autobusu, to nigdzie nie chodź, tylko od razu za przystankiem skręć w lewo. Przejdź koło*

*remizy strażackiej i kościoła, a potem przez mostek, aż dojdiesz do pastwiska. Pewnie będą na nim barany pani Kozikowej, ale nic się nie bój. One są łagodniejsze i czulsze niż niejeden pies. Dalej idź wzdłuż rowu, tylko uważaj, żebyś nie wpadła w błoto! Bo tutaj rowy są takie mokre, że łatwo o wypadek. Potem już tylko miniesz kępę brzoź i zaraz zobaczysz mój dom (numer 2). Wyślę po Ciebie Krecika, choć to mały szwendacz i nie wiem, czy będzie na pewno czekał. Ale ja na Ciebie czekam. Z ciepłą kolumną i herbatą. I bardzo się cieszę!*

*Babcia Irena*

Celina spojrzała na kundla, który obwąchawszy śmietnik, rozsiadł się w zrelaksowanej pozie na murku.

– Krecik? – spytała cicho, tak by nie usłyszał jej siwy dziadunio, zmierzający do sklepu z wielką ceratową torbą. – No, powiedz. Ty jesteś Krecik?

Kundelek machnął ogonem i spojrzał na nią wesoło.

– Idziesz ze mną? – spróbowała jeszcze raz, zakładając na ramiona ciężki plecak.

Pies znów machnął ogonem, ale nie ruszył się z miejsca, więc nie czekając na niego, skręciła wedle instrukcji za przystankiem w lewo. Minęła dwa identyczne ceglaste domy z żelaznymi balustradkami i drewniany przysadzisty kościół z wysoką białą wieżą. Gdy przyglądała się pachnącym bujnym różom w przykościelnym ogrodzie, zauważyła, że pies jednak idzie za nią. Minę miał przy tym tak niezależną, jakby kroczył tą samą drogą zupełnie przypadkiem. Nie zwracając na Celinę najmniejszej uwagi, obwąchiwał krzaki i kamienie. Z przyjemnością wdawał się w awanturę z każdym mijanym psem.

Celina postanowiła więcej na niego nie patrzeć.

Przeszła po małym, żółtym mostku, który z obydwu stron porastały krzaczaste ciemnozielone jeżyny, minęła kępę bzu i wielkie zwalone drzewo i stanęła przed dużym pastwiskiem.

Nawet jeśli babcia twierdziła, że te barany są czule i łagodne, Celina miała pełne prawo w to wątpić. Nieruchome, wełniaste stworzenia patrzyły bowiem na nią tak nieufnie, jakby sądziły, że Celina zaraz wbiegnie na pastwisko i zacznie pożerać ich trawę. Jeden z nich, o wyjątkowo ponurym czarnym pysku, przytruchtał z głębi pastwiska i zabeczał złowrogo. Jak na komendę w stronę Celiny puściły się biegiem pozostałe zwierzęta. Dziewczyna cofnęła się w popłochu.

– Nie bój nic – usłyszała nagle tuż za swoimi plecami. – Ten czarny to tylko mocny w gębie.

Aż podskoczyła ze strachu!

Odwróciła się i zobaczyła wysokiego chłopaka, mniej więcej w swoim wieku. Stał swobodnie, trzymając dłonie na kierownicy dużego zdezelowanego roweru z wykrzywioną ramą. Ubrany w spodnie bojówki i czarną koszulę, był chudy i, jak na początek marca, mocno już opalony. Miał krótko ostrzyżone, jasne włosy, niewielką bliznę na brodzie, a w szarych świetlistych oczach kpinę świadczącą o zdrowym dystansie do świata. O czym świadczyły dyndające na kierownicy roweru torby wypchane jedzeniem, Celina nie wiedziała. Być może chłopak zrobił tygodniowe zakupy dla swojej wielodzietnej rodziny. Albo przeciwnie – tylko dla siebie, by po ucieczce z poprawczaka zamieszkać w lesie i nie pokazywać się więcej ludzkim oczom...

Takim torem mniej więcej przelatywały myśli przez Celiny głowę, ale, choć przestraszona, stała, biedaczka, dzielnie, rozglądając się dyskretnie za psem. Kundelek jednak zamiast stać

u jej boku, obwąchał z uznaniem rower chłopaka, po czym zanurkował gwałtownie w wielkie parasolowate łopiany i, oczywiście, przepadł. Tak więc gdy tylko chłopak ostrożnie położył rower na drodze i zrobił krok w jej stronę, osamotniona Celina odskoczyła jak młoda koza i biegiem ruszyła z powrotem do wsi.

– A ty dokąd?! – krzyknął za nią chłopak. – Przecież to nie ten kierunek!

Zatrzymała się i z bijącym sercem zapytała, skąd wie.

– No, przecież dom twojej babci jest tam! – chłopak machnął ręką w kierunku kępy drzew za pastwiskiem. – Ty jesteś Celina, nie? Po zdjęciu cię poznałem.

– Po jakim zdjęciu? – spytała Celina i nieco spokojniej patrzyła, jak chłopak podnosi rower i otrzepuje twaróg z piasku.

Czy młodzieniec o złych zamiarach zajmowałby się w takiej chwili twarogiem? Nie, zdecydowanie nie.

– No, po normalnym, chyba z wycieczki – burknął chłopak. Oparł rower o biodro i wyciągnął do Celiny dużą, kościastą dłoń. – Andrzej – przedstawił się krótko. – Mieszkam obok twojej babci, ot, przez płot. I teraz, jak ma zwichniętą nogę, trochę jej pomagam. O, z zakupami na przykład – wskazał na torby i szybko złapał kierownicę, bo na drogę omal nie wypadło pudełko z herbatą.

– To babcia ma zwichniętą nogę? – bąknęła Celina. – Nie wiedziałam... Nic nie mówiła...

– A, bo to się przedwczoraj stało – wyjaśnił Andrzej. – Potknęła się chyba, czy coś, dokładnie nie wiem. Chodźmy, bo pewnie się już nie może ciebie doczekać. A ty, durny baranie, *paszoł won!*

Celina zauważyła z podziwem, że zarówno baran nazwany durnym, jak i wszystkie pozostałe rozstąpiły się przed chło-

pakiem z respektem. Ale i tak czujnie zerkała za siebie. A nuż któremuś zwierzakowi coś strzeli do łba? Wydawało jej się, że chłopak spojrzał na nią kpiąco.

– Nie ma tu innej drogi? – rzuciła obojętnym tonem.

– Jest – Andrzej pchał z całej siły rower pod górkę – ale trzeba by iść naokoło, szmat drogi. A ty nie wyglądasz na taką, która lubi chodzić.

– Tak? A na jaką wyglądam? – zjeżyła się natychmiast.

– No – chłopak szybkim spojrzeniem obrzucił jej nowe dzinsy, zieloną bluzę z brylancikami na kieszeniach i nowiutkie, lśniące białe trampki. – Na taką pańczę z miasta wyglądasz. Taką, którą się wszędzie wozi.

Celinę zatkało. Owszem, ciotka Ilona nie pozwalała jej samej wracać ze szkoły i faktycznie wszędzie woziła ją i Maćka. Ale co jemu do tego?

– Najbardziej to widać po butach. Nie ma na nich nawet pyłku. Co, ty, fruwasz? – ciągnął tymczasem Andrzej.

Pyszałek. Co on sobie wyobraża? Że będą tak sobie razem szli, a on się będzie z Celiny nabijał? O nie! Celina nie pozwoli z siebie drwić. Wróci do wsi i pójdzie do babci okrężną drogą. Co to dla niej dodatkowy kilometr czy dwa. Phi!

Andrzej zerknął na nią.

– Widzisz za tą kępą drzew niebieski dom? To tam. Zaraz będziemy na miejscu. Tym pastwiskiem to jednak się szybko idzie.

– I co? – zamruczała Celina. – Zawsze chodzicie tędy? Przecież jesienią i zimą trudno tu chyba przejść przez błoto.

– No, trudno – Andrzej poprawił spadającą z kierownicy torbę – ale spokojnie, przyzwyczaisz się.

Celina miała dość jego protekcjonalnego tonu.

– Nie wiem, czy będę miała okazję – rzuciła wyniośle – bo długo tu nie pobędę.

– Nie? – chłopak zatrzymał rower i spojrzał na nią z ukosa.

– A twoja babcia mówiła, że cię tu zapisze do szkoły.

Celinę zalała taka fala złości, że obcy chłopak wie o jej sprawach więcej niż ona, że omal się nie rozplakała. Czy naprawdę wszyscy muszą o wszystkim decydować za nią?!

Nie – pomyślała Celina z rozpaczą – nie zgadzam się na to!

I żeby Andrzej tej rozpaczy nie widział, rzuciła plecak na ziemię i pobiegła pędem w kierunku niebieskiego domu.

\* \* \*

Pani Irena usiadła na ławce i popatrzyła na jaskółki, które z głośnym świergotem zlatywały pod dach werandy, znosząc grudki gliny. Zwinne czarno-białe ptaszki raz po raz wczepiały się pazurkami w przyklepioną do ściany dziurawą bryłę w kształcie czarki i przy użyciu szerokich dziobów sprawnie ją łątały. Były tak zajęte naprawą swojego zeszłorocznego gniazda, że w ogóle nie patrzyły na panią Irenę i rudego kocura, który przeciągał się na jej kolanach. Dla nich podobne lenistwo było nie do pomyslenia.

Ależ ta noga boli. Ale warto było dokuśtykać tu, na dwór, by odetchnąć świeżym powietrzem i popatrzeć na ptaszki. Te poderwały się przestraszone, gdy nagle z hukiem otworzyła się furтка. Stojąca w niej Celina była potargana, zapłakana i tak nieszczęśliwa, że pani Irenie ścisnęło się serce. Ale nie dała po sobie nic poznać. Spokojnie zdjęła kota z kolan i podniosła się powoli.

– Cieszę się, że przyjechałaś, Celia – powiedziała i opierając się o ławkę, wyciągnęła rękę. – Naprawdę, bardzo się cieszę.

– Ale ja się nie cieszę! – wybuchnęła Celina. – Wysyła ją mnie tutaj do ciebie jak jakąś paczkę i jeszcze ten chłopak, ten... ten... okropny Andrzej! On gada, że będę tu chodzić do szkoły! I co? Myślicie wszyscy, że to jest dla mnie takie świetne?! Że będę się z tego cieszyć?

Pani Irena spojrzała na jej gniewną buzię i opuściła rękę.

– Ja tak nie myślę, Celia. Ale zanim będziemy o tym rozmawiać, trzeba się przywitać. Tylko musisz podejść do mnie, bo ja ledwo kuśtykam.

Celina ociągając się, podeszła niechętnie do babci.

– Przepraszam – mruknęła cicho. – Ale to wszystko jest takie...

– Wiem – powiedziała babcia i mimo że z trudem stała na chorej nodze, mocno przytuliła dziewczynę. – Wiem wszystko, oj tak, oj tak – szeptała i trzymała ją tak długo, aż Celinę przestało coś dusić w gardle. – No, a teraz wejdźmy do środka – delikatnie popchnęła dziewczynę w stronę domu, mówiąc, że na końcu korytarza jest łazienka. Dobrze by było, żeby Celina przed kolacją obmyła twarz i ręce.

Celina poszła więc wąskim korytarzykiem, w którym pachniało jabłkami, do małej, ciemnowej łazienki i odkręciła śmieszne staroświeckie kurki. Pochyliła się nad szerokim zlewem i starannie umyła rozpaloną twarz. Była to twarz miła i ładna, z inteligentnym spojrzeniem dużych, łagodnie patrzących oczu i gładkimi, jasnymi włosami do ramion. Teraz te oczy, podobnie jak czubek małego, nieco zadartego nosa, były mocno zaczerwienione, więc gdy Celina wyszła z łazienki, ucieszyła się, że Andrzej zostawił jej plecak i zakupy i sobie poszedł. Na dużym okrągłym stole w kuchni stały torby wyładowane jedzeniem.

– To dla ciebie – oznajmiła babcia z zadowoleniem. – Teraz musisz to wszystko zjeść!

Celina spojrzała na babcię i jak na komendę wybuchnęły śmiechem.

Oj, jak dobrze było się tak śmiać.

A potem można było spokojnie ucałować babcię i według jej wskazówek schować jedzenie do lodówki, spiżarni i rozmaitych szafek.

Na stole został bochen pachnącego chleba, masło, żółtawe małosolne ogórki i pachnąca jałowcowym dymem kiełbasa. Wystarczyło zalać wrzątkiem herbatę, do której babcia dodała rumianku, kwiatów lipy i skórek jabłek, oraz postawić na stole ciepły jeszcze garnek z kaszą i warzywami. I już można było jeść.

Celina ostatnio nie miała apetytu. Ciągłe coś ją ścisnęło w gardle i w żołądku, zwłaszcza gdy zamieszkała u siostry taty, ciotki Ilony. A teraz ani się obejrzała, jak nadgryzała trzecią pajdę chleba z masłem, chrupała kolejnego ogórka o grubej, chropowatej skórce i pochłaniała plasterki pachnącej kiełbasy. Po dokładce aromatycznej kaszy wreszcie poczuła się nasyciona. Nabiła na widelec ostatni krążek marchewki i głęboko westchnęła.

– Było pyszne, babciu, dziękuję – powiedziała, odstawiając talerze do zlewu.

– A, to się cieszę – uśmiechnęła się babcia. – A jak już zjadłaś, to sięgnij no do piekarnika. Jest tam coś na zakończenie kolacji.

Celina otworzyła staroświecki piecyk i wyciągnęła okrągłą, nieco zardzewiałą formę z lśniącym czekoladowym murzynkiem.

– Babciu, to przecież moje ulubione ciasto! – zawołała.

– No, wiem, jasna sprawa – zaśmiała się babcia. – I moje, Cela, też ulubione. Najlepsze do herbatki i na wszystkie smutki.

– Na smutki? – Celina niezbyt wprawnie kroїła ciasto na wąskie trójkąty.

– Ano tak – westchnęła babcia. – Bo ja wiem, że po wyjeździe rodziców to ty często jesteś smutna, a czasami to taka zła, że nawet nie chcesz z nimi rozmawiać. I tak sobie pomyślałam, czy nie byłoby ci weselej tu, ze mną?

– A więc to prawda? – zjeżyła się Celina. – Ten chłopak miał rację! Skąd on się tutaj w ogóle wziął? Przecież za płotem zawsze mieszkał tylko starszy pan...

– Szczepan – kiwnęła głową babcia. – A Andrzej jest jego wnukiem...

Celina potrząsnęła głową, przenosząc ciasto na podłużny niebieski talerz.

– To nieważne – westchnęła. – Ja bym chciała tylko wiedzieć, czy to już postanowione, że mam się tutaj przenieść?

– Nie, nie – powiedziała szybko babcia. – Nic tu, Cela, postanowione nie jest. Ja ciebie zaprosiłam, żeby o tym spokojnie porozmawiać. Żebyś się tu u mnie rozejrzała i sama zdecydowała. Jeśli chcesz dalej mieszkać u Ilony, to ja nic przeciwko temu nie mam. Ale jakbyś tutaj chciała skończyć szkołę, to wiedz, że mnie by się taki pomysł bardzo podobał.

– Ale... ale – zająknęła się Celina, rozglądając się wokół, jakby miała przytulną kuchnię z rzeźbionym kredensem, masywnym stołem i zdjęciem jakiejś kolczastej rośliny w ramce miała jej pomóc w podjęciu decyzji. – Ale jak się tak przenosić w połowie roku? Przecież nauczyciele się nie zgodzą!

– Zgodzą się, Cela, zgodzą – babcia dobrotliwie pokiwała głową. – Ale najpierw ty powinnaś się zgodzić. Musisz się za-

stanowić, czy to by tobie odpowiadało. Nasza szkoła, chociaż mała, to prawie najlepsza w województwie! Gdybyś się zgodziła tu przenieść, to Ilona powiedziała, że nawet jutro może przywieźć twoje rzeczy. Tylko z rana, bo potem wiezie Maćka na jakiś turniej...

Celina spojrzała badawczo na babcie.

– Ciotka jest na mnie zła za tę kłótnię z Maćkiem, prawda? – powiedziała gorzko. – Za to, że mu powiedziałam, że... że jest rozpieszczonym lalusiem. Tak na mnie wtedy spojrzała... Jak na kogoś obcego.

Babcia wytrzymała jej ciężkie, surowe spojrzenie.

– No, może miałas powody, Cela. Coś się pewnie musiało stać, mam rację?

– A, bo pokłóciliśmy się po olimpiadzie z polskiego – mruknęła niechętnie Celina. – Ja zajęłam w niej pierwsze miejsce, a Maciek trzecie i...

– I o to się pokłóciliście?

– No tak... Bo Maciek powiedział, że miałam zwyczajnie szczęście, a ja naprawdę, babciu, się dużo uczyłam. I dodał jeszcze, że okropnie się ze mną mieszka... i że nie można ze mną wytrzymać... i że – tu głos Celiny załamał się niebezpiecznie – że on się nie dziwi, że nawet rodzice ode mnie uciekli! A potem jeszcze słyszałam, jak ciotka mówiła do naszej sąsiadki, pani Kawczyńskiej, że nie wie, skąd ja mam takie wyniki, bo takie zahukane cielę jestem...

Babcia przytuliła dziewczynę mocno, mruczając jej do ucha, że jak ktoś gada głupoty, to nie trzeba ich słuchać.

– Dla Ilony zawsze najważniejsze były talenty Maćka – dodała babcia, uśmiechając się kpiąco. – Tak było, odkąd ten dzieciak skończył tydzień. Bóg wie, na ile on teraz zajęć jeździ...



– Na osiem. Ostatnio na robotykę – policzyła szybko Celina i uśmiechnęła się blado, bo babcia usłyszawszy to, znowu wesoło mrugnęła.

– A ty, Cella? Ty chodzisz na jakieś pozaszkolne zajęcia?

Celina westchnęła.

– Chodziłam – powiedziała. – Na kółko przyrodnicze i na zajęcia teatralne...

– Na kółko przyrodnicze! – babcia klasnęła w dłonie. – To się świetnie składa, bo tu przecież jest raj dla przyrodników! Jedz no, murzynka, Cella, a ja ci wszystko opowiem. Kółko przyrodnicze, a to ci dopiero!

Celina nie wiedziała, czy ekspresowe tempo, z jakim znikają jej smutki, miało związek z kolejnymi kawałkami murzynka, czy też raczej była to zasługa babci, która śmiejąc się i gestykułując, opowiadała o tutejszych żabach.

– Piękne są one i unikatowe na cały długi i szeroki kraj, Cella. A co jedna, to mówię ci, prawdziwa żabia miss. Mamy tu żabę moczarową i jeziorkową, i dalmatyńską. Widziałaś ty kiedyś którąś z nich? Ha, a ja nie raz! Ech, jak byłam młoda i pasłam krowy, to te żaby całymi chmarami na łące siedziały. Teraz ich mniej, dużo mniej, ale jak pójdziesz nad wodę, to już z daleka słychać, jak się tam kłócą, swatają, żartują, godzą. No, naprawdę miło tego rechotu posłuchać.

Celina oparła głowę na dłoni i ziewnęła.

– Przy przystanku autobusowym też widziałam staw...

– A jużci! Tam też są żaby. Lata temu myśleliśmy, że jak obok pójdzie droga, to one się wystraszą i gdzieś szybko przeniosą. Ale nie, widać ani hałas, ani spaliny im nie przeszkadzają. Cella, możesz uchylić drzwi? Widzę, że ten mały szwendacz wrócił. Pewnie głodny, to weź mu nasyp chrupek do miski. Stoją tam, na zielonej półce.

Celina nasypała porcję psiej karmy i otworzyła drzwi. Do kuchni wpadł zadowolony czarny kundelek, który wpięrowo szybko opróżnił miskę, a potem przypadł do kolan Celiny.

– No, Krecik, na tobie to można polegać! – łajała psa babcia, podtykając mu resztkę kielbasy. – Miałeś Celę do domu przyprowadzić, a ty gdzie polazłeś, co?

Krecik natychmiast porzucił Celinę i z pochylonym łbem podbiegł do swojej pani. Minę miał szczerze skruszoną, ale ogonem wesoło bił o podłogę, przeczuwając, że te połajanki zaraz się skończą.

Celina znów ziewnęła, tym razem szerzej. Bez protestu przyjęła zarządzenie babci, żeby przebrać się w pidżamę i kłaść do łóżka. To, pachnące suszoną na świeżym powietrzu pościelą, kusilo wielką poduchą i puchową kołdrą. Celina położyła się i odetchnęła z ulgą. Ojej, jak dobrze – pomyślała – jak dobrze...

Chwilę później już spała.

\* \* \*

Gdy się obudziła, słońce wścibiało swój ciepły nos między dziurki gęstej, białej firanki. Spojrzała na budzik, ciężki staroświecki model przyciskający żeliwną podstawą zieloną serwetkę do niskiej, pękatej szafki.

Było wpół do szóstej.

Normalnie o tej porze Celina jeszcze głęboko spała, ale tu koniec nocnej ciszy zarządziły pracowite jaskółki. Para tych ptaszków niez mordowanie lepila na poczet przyszłej rodziny gniazdo, świergocząc przy tym na całe gardło. Celina ziewnęła i rozejrzała po pokoju. Był to niewielki, niski pokój z bielony-

mi ścianami, bordowym dywanem, ciemnobrązowym, lśnią-cym stołem i dwoma krzesłami obitymi brązowym pluszem. Dwa małe okna wychodziły na podwórze i znajdowały się tak nisko podłogi, że ktoś, kto miałby na to ochotę, bez trudu mógłby przez nie wejść do środka. Jediną przeszkodą dla intruza mogły się okazać doniczki z roślinami, którymi zastawiony był cały parapet. W szczerze emitowanych na pokój woniach Celina rozpoznała cytrynę i miętę.

Wyszła z łóżka i podeszła do okna.

A u nas w ogóle nie ma kwiatów – pomyślała z żalem. – Ani jednego.

Ani psa, ani kota. Ani jaskółek. Niczego.

Jest tylko kredyt do spłacenia, wokół którego kręci się całe życie. Moje tutaj, a mamy i taty gdzieś na drugim końcu świata.

Skrzypnęły drzwi i Celina usłyszała, jak za ścianą babcia wesoło karcąc kota. Ubrała się i poszła do kuchni.

– Myślałam, że babcia jeszcze śpi – bąknęła zaskoczona, że na stole zastała gotowe śniadanie.

– Chciałam ci ja dłużej pospać – wyjaśniła babcia, przykładając sobie do chorej nogi kompres – ale ten huncwot – wskazała kijkiem kota – przyniósł mi do łóżka, proszę ja ciebie, mysz. I to na tyle jeszcze żwawą, że musiałam się dobrze nagimnastykować, żeby ją złapać. Ale uratowałam biedaczce życie, ha, ha!

– I gdzie ona teraz jest? – rozejrzała się Celina.

– No, gdzieżby? Wyniosłam ją na dwór. A ten tu – babcia pogroziła kotu palcem – obrażony jest na mnie jak nie wiem co.

Celina podeszła do biało-rudego kocura i pogłaskała go po ciepłej aksamitnej sierści.

– Jak on ma na imię? – spytała.

– No, to dobre pytanie – odrzekła babcia, nalewając do kubków parującą inkę. – On tak naprawdę nie ma imienia. Przy-pałętał się niedawno i jakoś tak został. Wstań no, Cela, i podaj mnie, proszę, cukier. A wiesz – babcia spojrzała na nią bystro – może ty byś go jakoś nazwała? Bo mnie żadne dobre imię jakoś nie przyszło do głowy.

– Naprawdę – ucieszyła się Celina. – Mogę?

A widząc zachęcającą minę babci, klasnęła w dłonie i powiedziała z wahaniem:

– Może... może nazwę go... Rudolf? Czy on tak się może nazywać, babciu?

– Rudolf? Wspaniałe imię dla takiego rudzielca! – babcia spojrzała na nią z uznaniem. – Tylko spójrz na niego, Cela, jak to się przeży, no! Widać, że mu się podoba.

Kot miauknął i obliznął się szeroko małym różowym języczkiem.

– No, no – rzuciła babcia – ty, Rudolf, już jadłeś. Siadaj, Cela, smaruj sobie chleb i nie zwracaj na tego huncwota uwagi. No, jedz, bidulo, jedz, bo buzia trochę mizerna...

Celina gryzła ze smakiem pajdę chleba z miodem, a potem twarożek i rzodkiewki i patrzyła, jak babcia kozikiem z czerwoną rączką sprawnie obiera włoszczyznę.

– Będzie do rosółu – wyjaśniła. – Lubisz rosół, Cela?

Celina nie wiedziała, czy lubi. Właściwie to było jej obojętne, co je.

– Najlepszy jest z nie za tłustej młodej kury – tłumaczyła babcia, sięgając po wielką bulwę selera. – A co najważniejsze, to musisz zawsze włożyć do garnka przypieczoną cebulkę i cierpliwie, powoli gotować na małym ogniu. Rosół, Cela, nie lubi pośpiechu.

– A ta młoda kura – spytała ze strachem Celina – to babcia ją...

– A gdzieżby! – babcia aż ręce podniosła. – Ja taką kurę, już sprawioną, zawsze kupuję od Łodzi Basiukowej. Ona na końcu wsi mieszka.

Celina popiła z kubka ciepłej kawy.

– Myślałam – powiedziała niepewnie – że babcia ma swoje kury.

– A mam, mam – przytaknęła babcia. – Dokładnie cztery. I jednego koguta, zawadiacki charakter. Ale te moje kury nie są przeznaczone na rosół. One są jak ten pies czy kot, udomowione. Nawet imiona mają.

– Imiona? Jakie?

– Jak zjesz, to ci je przedstawię. Już skończyłaś? No to chodź, wszystko sobie obejrzysz. Tylko czekaj, Cela, wezmę swojego kijka, bo ta noga coś mnie jeszcze mocno boli.

Gdy wyszły na podwórze, podbiegł do nich Krecik, zajęty dotąd przeganianiem znad cebrzyka z wodą chmary wróbli. Na widok babci zrobił pokazowo skruszoną minę i machając ogonem na wszystkie strony, zadowolony, eskortował je pod kurnik.

– Odemknij no, Cela, te drzwiczki – zaleciła tymczasem babcia – ale wpierv podnieś skobel, dasz radę? O, tak, tak, bardzo dobrze. A teraz podeprzyj kołkiem drzwi. Słyszysz gdakanie? Oho, już idą. Patrz tylko!

W drzwiach kurnika pokazała się jako pierwsza czarno-kremowa kura, łypiąca ostrożnie bladym niebieskim oczkiem. Tuż za nią pchał się imponujący kogut o zielono-brązowym ogonie. Chwilę potem dostojnym truchcikiem wybiegły trzy przysadziste, rozgadane kurki. Były brązowe, żwawe i, jak się przekonała Celina, nie lubiły tracić czasu. Od razu podbiegły do kępki młodych pokrzyw i zaczęły rozdrapywać pod nią ziemię.

– Ta największa – rzekła z dumą babcia – to Józefina. Ta z błękitnymi oczkami to Pelagia. Ta mała z wyskubanym ogonem to Klara. A ta, co tak zawzięcie szuka w ziemi robaków, o ta, jak ciemna czekolada, to Rebeka.

– A kogut? – spytała Celina. – Czy on też ma jakieś imię?

– E, nie ma – machnęła ręką babcia. – Kogut to kogut.

Celina rozejrzała się po podwórzu. Odgródzone ze wszystkich stron brązowym drewnianym płotem tworzyło duży prostokąt, na którym oprócz domu i kurnika mieścił się jeszcze wysoki budynek, stara studnia i duża ogrodowa huśtawka. Czy Celina dobrze pamięta, że kiedyś w tym dużym budynku były krowy?

– Krowy i owce, Cela – przytaknęła babcia. – Ale to było dawno. Jeszcze jak twój dziadek żył. Teraz ta obórka służy jako garaż. Jak przyjeżdżaliście, to twój tata auto tam parkował.

– Czemu przyjeżdżaliśmy tu tak rzadko? – spytała z żalem Celina. – Przecież ja tu byłam ostatnio, jak miałam siedem czy osiem lat...

Babcia westchnęła i usiadła na ławce.

– Siedem, Cela, miałaś, siedem. Wiesz – powiedziała babcia poważnie – jak ludzie mają problemy, to nie starcza im czasu na różne inne rzeczy. A ten kredyt mieszkaniowy to naprawdę jest duży problem. I żeby się go pozbyć raz na zawsze, to...

– Wiem – przerwała jej Celina – wiem, dlaczego pojechali do Norwegii. Najpierw tata, potem mama. Najpierw tylko na wakacje, potem na pół roku. A teraz to nie wiadomo, czy w ogóle kiedyś wrócą...

– Nie mów tak, Cela – powiedziała szybko babcia i wyciągnęła do dziewczyny rękę. Jej pomarszczona dłoń była ciepła,

a uścisk miły, krzepiący. – Oni wrócą za rok. Nie będą już tego wyjazdu przedłużać. Wiem to.

– Naprawdę? – Celina zamrugła szybko oczami. – Skąd wiesz, babciu?

– Dostałam wczoraj list od twojej mamy – uśmiechnęła się babcia. – Miałam porozmawiać z nią na tym, no, na Skypie. Nawet mi Andrzejek specjalnie swój laptop przyniósł. Ale akurat było po burzy i coś nam tu nie działało, więc tak się ułożyło, że nie rozmawiałam. Ale zaraz potem Anulka do mnie napisała.

– Rodzice też chcą, żebym tutaj mieszkała? – spytała Celina. Babcia skinęła głową.

– Sami by ci to powiedzieli, gdybyś się na nich nie obraziła. Ale to twoja decyzja, Celia. Pomyśl sobie spokojnie, czy chcesz. I dzisiaj wieczorem porozmawiamy o tym z rodzicami. A teraz ja tu sobie spokojnie ugotuję rosółek, a ty pójdz na spacer, a potem zajdź do szkoły. Tam, o dziesiątej, na ciebie czekają.

– Czekają na mnie? W szkole? – zakrztusiła się Celina. – To tu się w soboty chodzi do szkoły?!

– A, nie, zwykle nie! – powiedziała babcia. – Ale dziś jest taka inna, wyjątkowa lekcja.

– Ale przecież ja... ja nie mam książek... ani nawet zeszytu – jękała się Celina.

– A, to nic nie szkodzi – rzekła babcia dobrotliwie. – Dzisiaj są lekcje bez książek. Pani Matuszewska, wychowawczyni, wszystko ci wytłumaczy.

– Ale ja nawet nie wiem, gdzie jest ta szkoła – rzuciła oszomiona Celina.

– Wiadomo, że nie wiesz – pani Irena z uśmiechem popatrzyła na wnuczkę. – Dlatego pójdzie z tobą ktoś, kto tu wszystko zna.

Celina zastanowiła się chwilę.

– To znaczy kto? – zapytała słabo.

– No... ja – odezwał się ktoś niechętnie.

Przy furtce, w nowych czarnych adidasach i sportowej bluzie z napisem „Hero” stał Andrzej.

\* \* \*

Tak głupio to się Celina jeszcze nie czuła.

Szła z milczącym Andrzejem przez wieś, a wieś w osobie mijającego ich rowerzysty, dwóch chichoczących dziewczyn trzymających się pod rękę, młodej matki bujającej w wózku płaczące niemowlę i starszej młodzieży płci męskiej siedzącej na ławce przed sklepem patrzyła na Celinę z wielkim zainteresowaniem.

Celina czuła się bardzo nieswojo. W mieście, w którym mieszkała, nikt na nią nie patrzył. Każdy był zajęty swoimi sprawami. Tu było zupełnie inaczej. Co chwilę ktoś mówił Andrzejowi: „Cześć brachu”, „Andrzej, serwus!”, a on odpowiadał i kłaniał się starszym. Mimo wczesnej pory w Żabich Skuchach panował spory ruch. Gdy Celina zapytała Andrzeja, czy tu wszyscy tak wcześniej wstają, wyjaśnił, że to przez jarmark.

– Na placu przed kościołem będą wystawione dziś jakieś kramy. Z ekologicznym jedzeniem, zabawkami, takimi tam, różnymi... Możemy zajść po szkole, jak ci zależy.

Celina wzruszyła ramionami. Owszem, chętnie by zerknęła, ale żeby jej specjalnie zależało, to nie!

Przeszli obok przystanku autobusowego, minęli żółty budynek z napisem „Agencja pocztowa” i wspięli się na pagórek, za którym rozpościerała się wielka kolorowa łąka. Na górcie stał

duży, ładny dom z drewnianym, brązowym gankiem. Miał białe ściany, zielone okiennice i soczyscie czerwone pelargonie, które posadzone w zielonych skrzynkach, zdobiły długi blaszany parapet.

– To tu – powiedział Andrzej.

A gdy Celina spojrzała na niego zaskoczona, pokazał jej czerwoną tabliczkę na ścianie. Nieduże białe litery głosiły, iż właśnie w tym budynku Żabie Skuchy mają swoją szkołę podstawową.

– Ojej! – zawołała Celina. – A ja myślałam, że to czyjś dom, tak tu ładnie!

– Miło mi – powiedział czyjś ciepły głos.

Celina odwróciła się i zobaczyła wysoką panią w kraciastej koszuli i czerwonych kaloszach.

Kobieta podeszła do Celiny i wyciągnęła dłoń.

– Nazywam się Magda Matuszewska – powiedziała z uśmiechem, odgarniając za ucho proste, jasne włosy. – Jestem nauczycielką w tej szkole. Bardzo się cieszę, że przyszedłś, Celinko. Wszyscy już są, czekają po drugiej stronie szkoły. Mamy tam pole uprawne, na którym będzie dziś lekcja przyrody. Zapraszam!

Celina posłusznie ruszyła za nauczycielką, zbyt zaskoczona, żeby coś powiedzieć. Pomyślała, że w jej szkole coś takiego byłoby chyba niemożliwe. Nowy uczeń musiałby przyjechać z rodzicami, złożyć w sekretariacie odpowiednie pismo, może nawet pokazać oceny, które by zdecydowały, czy dyrektor Grondek zapisałby go do szkoły, czy nie. A tu bez żadnego pisma, bez żadnych zeszytów ani książek, ot tak, po prostu Celina idzie sobie na lekcję. Niebywałe!

Pani Matuszewska odwróciła się w stronę dziewczyny.

– A gdzie są twoje kalosze?

Celina zerknęła na swoje trampki.

– Kalosze? – zdziwiła się. – A po co mi? Przecież nie jest mokro.

– Andrzej, nie powiedziałeś jej? – nauczycielka spojrzała na chłopca.

– Za późno wczoraj przyjechała – zaczerwienił się Andrzej.

– Ale – dodał, grzebiąc w plecaku – kupiłem, powinny pasować.

I wyjął parę zgrabnym zielonych kaloszków w różowe groszki.

– Jakie ładne – uśmiechnęła się pani Matuszewska i poprosiła, by Celina zaraz te kalosze włożyła. – Na polu jest świeżo skopana, wilgotna ziemia. Utonęłabyś w niej w swoich trampkach – wyjaśniła.

Kalosze rzeczywiście były ładne, ale miały jeden zasadniczy feler. Były przynajmniej o dwa numery za duże.

– Przymierzałeś na swoją nogę, czy co? – syknęła Celina, patrząc z ukosa na Andrzeja, ale ten burknął niegrzecznie: „Cicho”, bo właśnie pani Matuszewska doprowadziła ich na skraj pola i przedstawiła Celinę grupce uczniów. Były w niej trzy dziewczyny (Celina zapamiętała, że wysoka, chuda to Maja, ładna, o ostrym spojrzeniu to Malwina, a pulchna szatynka to Sylwia) i, nie licząc Andrzeja, czterech chłopców, którzy coś wymamrotali pod nosem, błazeńsko przewracając oczami. Celina nic z tego nie zrozumiała.

– A gdzie reszta klasy? – rozejrzała się Celina.

– To jest cała klasa – uśmiechnęła się pani Matuszewska.

Celina aż otworzyła buzię ze zdziwienia. Osiem osób w klasie? W swojej szkole miała dokładnie o dwadzieścia więcej!

– No – uśmiechnęła się wesoło nauczycielka – bierzmy się do roboty. Dziś chcę wam przedstawić pewną niesamowitą postać – mówiąc to, pani Matuszewska schyliła się i ostrożnie położyła sobie na dłoni długi wijący się kształt.